



ODNALEZIONE JUWENILIA

Leo LIPSKI

Podali do druku i opracowali

Maciej LIBICH (Uniwersytet Warszawski)

ORCID: 0000-0002-8536-3315

Antoni ZAJĄC (Uniwersytet Warszawski)¹

ORCID: 0000-0002-8430-5455

Zasady edycji

Przygotowanie juveniliów Leo Lipskiego do druku wymaga uwspółcześnienia zapisu. Proponowane zmiany to przede wszystkim modernizacja ortografii. Znaczna część korekt dotyczy pisowni łącznej i rozłącznej. Formy takie jak „nie nawidzę” albo „z pod” zamieniamy na „nienawidzę” i „spod”; „dowidzenia” czy „napewno” – na „do widzenia” i „na pewno”. W przypadku słów takich jak „warjat”, „manjak” czy „Juljusz” podajemy dzisiejsze odpowiedniki z literą „i”. Podobnie uczyniliśmy w przypadku słów takich jak „ślepemi”, „wyłupiastemi”, „zwiędłemi”, „tem”, „czem”, w których literę „e” zamieniamy na „y”. „Syphilis” stał się „syfilisem”, a „chrostka” – „krostką”. Uwspółcześniamy również słowo „szepnął”, podawane przez Lipskiego konsekwentnie jako „szeptnął”.

Uzupełniliśmy brakujące przecinki, m.in. przed spójnikami, wołaczami, a także przed imiesłowowymi równoważnikami zdania – zmian nie oznaczamy w tekście. Pozostawiliśmy niektóre wyrażenia niepoprawne jako cechę języka autora lub postaci, np. „ucieknać”. W kilku miejscach dodaliśmy łamanie akapitowe, którego zabrakło w maszynopisie.

¹ Wkład Antoniego Zająca w niniejsze opracowanie jest częścią pracy naukowej finansowanej ze środków budżetowych na naukę w latach 2019–2023 jako projekt badawczy w ramach programu „Diamantowy Grant”.

Zdecydowaliśmy się nie oznaczać korektorskich zmian Lipskiego naniesionych na maszynopis. Opowiadanie publikujemy w jego ostatecznym kształcie – z uwzględnieniem autorskich poprawek pisarza. Jest ich bardzo niewiele, a w przeważającej większości przypadków dotyczą one pojedynczych słów.

O NIEPOKOJU I ŚMIERCI

PRZEDMOWA

Ludzie umierają koło mnie. Dla ciebie śmierć ich kończy się na czarnym napisie. Ja widzę naraz każdą minutę przedśmiertną rozłożoną na niteczki. Ty chcesz o niej zapomnieć. Słusznie. Ale czy wiesz, że zapominasz właśnie ze względu na jej niewątpliwe, straszne istnienie, czy wiesz, że każdy twój czyn robisz właśnie ze względu na nią? Są nawet ludzie, którzy w niej widzą sens i cel jakiś, ale nie o tych ludziach będzie mowa. Opowiem ci o tych, co budują w wiecznym niepokoju coraz to bardziej skomplikowane siatki ze swoich myśli, aby oddzielić się i zasłonić przed śmiercią, żeby wspinać się nad nią. Chcą, żeby chociaż te siatki dla innych zostały. Ale siatki nie mogą być nigdy dość gęste i ludzie muszą coś zawsze zobaczyć.

CZEŚĆ PIERWSZA

Uwertura. Jola, czyli grzebanie w przeszłości

Jola szła przez deszcz stukający po rynnach, przez błoto i brzęczącą ulicę. Myśli tłukły się po głowie jak krople po szybach. Z dołu szło ku górze głupie pragnienie, które streszczało się w słowie „Jen”. Nienawiść, zaciekle miłość, a raczej ciskanie się po krańcach uczuć wyczerpywało nerwy. To wszystko sięgało jeszcze głęboko wstecz w czas w zabłocone miasteczko. Dlatego te przeszłe dzieje wyłaziły z dziwną wyrazistością. Nie wiadomo tylko, czy były zgodne z prawdą i niepokryte godzinami przeżywać. Z mroku, z przeszłości sterczały uczucia. To było dawno, bardzo dawno.

Z daleka mgliły się góry, szklannie, przezroczyście. Topiły się potem w mroku w deszczu, w żółtawych oparach. Noc chlupocząca kałużami i ślepymi latarniami spływała z góry. Jola mieszkała wtedy w szarym dużym domu. Dom było widać z daleka, bo był jedynym dwupiętrowym w okolicy. Stary stróż maniak z wylupia-

stymi oczyma mieszkał na parterze. Z odwieczną punktualnością pchał zwiędłymi rękami dużą bramę i trzaskał nią ponuro. Wtedy zaczynała się noc. Trzeba było długo, długo czekać na nerwowy dzwonek spóźnionego lokatora. Wtedy pędził na zmęczonych nogach z dziwnie obleśnym uśmiechem i otwierał bramę. Powoli i uroczyście. To czekanie po nocach zjadało go doszczętnie. W bladej izbie dusiły go potworne skurcze serca. Jęczał wtedy hipochondrycznie i ślina spływała mu z ust. Nieznośna myśl o dzwonku tkwiła zagrzebana jednym końcem w jakimś dalekim zdarzeniu, a drugim kłuła w mózg. Owo zamierzchłe zdarzenie odżywało w każdym dzwoniącym lokatorze i wyciągało cały pęk uczuć. Wtedy głuchy płacz bulgotał w krtani. W każdym razie trzeba przyznać, że noc stróża koncentrowała się w dzwonku.

Owego wieczora, który był krańcowym etapem myśli Joli, usypiała ona w poczuciu dziwnej nierzeczywistości zdarzeń i bólu głowy. Mała blondynka, jej „wychowanica”, oddychała przez grube różowe usta równo i spokojnie. Jola miała okresy, kiedy nienawidziła jej. Ale teraz była jej obojętna i chwilowo nieistniejąca. Zmarszczone, zmęczone myśli wpiły się w mózg i falowały wolno. Z góry już spływał sen. Jola słyszała jeszcze kroki na korytarzu. To stróż wolno ciągnął za sobą nogi. Męczyła go beznadziejna bezsenność. Oglądał zamazaną ulicę przez brudne szyby. Potem znów schodził w dół i znów wychodził na górę. To szurganie stało się nieodłącznym składnikiem nocy, dlatego też sen mógł spokojnie spływać. Wtem głuchy huk wskoczył Joli na piersi. Obrzydliwy, miękki, ciemny dźwięk. Potem wszystko spadło głęboko w ciszę. Zdała sobie sprawę z nieobecności kroków nie-ludzko wyrwanych z ciemności. Rozległy się trzaskania drzwiami i szepty. Głos obijał się o schody i piętra, Jola włożyła szlafrok i zbiegła na dół. Stróż umierał. Leżał na łóżku i trzymał ręce na kołdrze. Rysy miał opuchłe i poorane. Głuchy bulgot worał mu się w oddech. Ustami puszczał małe, różowe bańki. Jola zaczęła się trząść. Nie mogła się ruszyć z miejsca i drgała na całym ciele. Oczy stróża były wbite w przestrzeń z siłą stali. Zdawało się, że życie zamieniło się we wzrok i promieniowało jak słup światła. Stróż ruszał rękami tak, jakby chciał coś złapać, i zginał chude palce. Potem z przeraźliwą powolnością zaczął sobie przejeżdżać paznokciami po skórze. Jola trzęsła się wciąż. Lokatorzy gonili z hałasem po schodach. Ktoś przebiegł koło niej i trącił ją. Zauważyła, że obok niej stoi chłopak. Miał pidżamę w czerwone paski. Wymęczona kropla potu błyszczała na czole, zdawało się, że twarz pęknie, wzdęta od wewnątrz. Stał w naprężeniu i wgryzał się w twarz umierającego stróża. Misterium napiętych dusz elektryzowało rzeczywistość i przepajało drgającymi jak struny nerwami. Śmierć. Trzej ludzie, z których jeden miał umrzeć, trwali zamknięci w swoich myślach jak w bańkach. Olbrzymi wysiłek wydobycia się z siebie. Śmierć szła. Wtem zadzwonił ktoś przy bramie. Stróż krzyknął i skonał. Właśnie przyszedł lekarz.

Jola zobaczyła, że twarz chłopca wygląda jak pęknięty balon. Oddychała ciężko. Chłopiec pytał:

– Proszę pani, prawda, że on umarł?

Potem poszedł schodami w górę, potykając się. Jola poszła też. W domu była śmierć. Ktoś ruszał się, teraz nie rusza się już. Umarł. Jakieś pierwotne, plugawe zdziwienie wyskoczyło z głębi. Chciało jej się śmiać, a raczej cicho, idiotycznie

skomleć. Weszła do pokoju i zobaczyła, że jej wychowanica oddycha równo przez grube różowe usta. Siadła na krześle. Ciągłe męczyło ją zdziwienie; jakieś dziwne uczucie nadskomplikowania życia. Wtem zobaczyła, że na kanapie siedzi chłopak i patrzy w powałę. Pomyślała, że pewno się pomylił, bo mieszka o piętro wyżej. Ten chłopiec nazywał się Jen. Jola siadła koło niego i wzięła go na kolana. Popatrzyła mu w oczy, ale złękła się, bo zdawało jej się, że widzi dwie głębokie jamy. Czuła jego chłopczykowate, chude ciało zalatujące ciepłem i świeżą męskością. Nagle przypomniała sobie stróża. Kotłowały się w niej myśli. Wszystko stało się wysokiem w dziwność, ponad życie. To łączyło się ze śmiercią gdzieś daleko w nieskończonych ciemnościach podobnych do oczu Jena. Na próżno świadomość przedzierała się rozpaczliwie przez nagle wyrosłą dżungłę przybyszów z głębi. Jola szeptała:

– Czy mnie kochasz? Kochasz mnie?

Jen bełkotał coś przez swoje piękne, trochę skrzywione usta. Potem zaczął ją całować i wdzierać się rękami za szlafrok i koszule. Uczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa i w ciele rozlało się coś ciepłego, pociągająco-lepkiego. Powtarzała:

– Kochasz mnie?

W odpowiedzi nie słyszała nic, tylko jednostajny bełkot. Ze złością zrzuciła go z siebie. Jen siedział teraz na podłodze i patrzył na nią poważnie, pytająco. Piękne usta miał półotwarte, lekko nabrzmiące, Jola powiedziała:

– No, chodź...

Zrobił nerwowy i ironiczny tik wargami i nie ruszał się. Pomyślała, że robi czasami wrażenie idioty. Musiała go wziąć za rękę i posadzić na kanapie. Wtem usłyszała, że ktoś stąpa po schodach. Szepnęła:

– Idź!...

On zaczął się śmiać. Taki śmiech z głębi duszy, dziwny potwornie, gruby, duży, rosnący jak w gorączce, po prostu namacalny. Zdawało się, że rozsadzi ludzkie pojęcia i będzie się wiecznie tułał po międzygwiazdnych przestrzeniach. To wszystko, co zostało opowiedziane, tkwiło w duszy Joli i jeszcze wiele faktów, które stały się potem. Od tej chwili upłynęło wiele czasu. Ponieważ określenie to jest względne, należy powiedzieć, że upłynęły trzy wiosny, a teraz jest czwarta. Małe miasteczko i konający stróż leżeli w pyle czasu. Jola szła właśnie teraz przez deszcz stukający na rynnach i odczuwała jakieś głupie pragnienie. Nienawidziła Jena za to, chciała go spoliczkować, rozdrapać mu twarz. Nie wiedziała nawet, czy go kocha; chciała po to iść do niego, żeby móc już raz ucieknąć i może znów wrócić.

Władysław

Władysław powiedział do matki głosem znużonym:

– Panna Jola poszła dawno i nie przychodzi.

Matka powtórzyła cicho:

– Tak, nie przychodzi.

Wtedy Władysław wziął monetę do ręki, która leżała na stole, i zeszedł w dół ciemnymi schodami. Deszcz wirował w powietrzu i bruzdy błota leżały na jezdni. Władysław otworzył usta i łapał deszcz. Chciał, żeby mu krople wpadały głęboko w gardło. Podniósł głowę do góry i widział niebo falujące i chmury. Jakaś pani krzyknęła:

– Chłopcze, nie stój na drodze!

Wtedy Władysław przypomniał sobie o monecie trzymanej w ręce. Chytrym ruchem schylił się i położył ją na chodniku w błocie. Stał obok niej niby obojętnie i oglądał plakat na murze. Chciał widzieć, jak wygląda pieniądz na ziemi i jak się go znajduje. Gdy zobaczył jakąś panienkę i błyszczące pończochy, zrobił zdziwioną minę i podniósł go triumfująco do góry. Panienska uśmiechnęła się. Domyśliła się pewnie, że zrobił to naumyślnie. Czuł, że łzy napływają mu do oczu. Miał monetę w palcach i stał. Panienska wzięła go za rękę i mówiła niezrozumiale:

– Boję się trochę... Boję się...

Władysławowi nie chodziło o treść słów, bo było mu dobrze. Panienska szła równym, falistym krokiem i miała ciepłą rękę. Tułowie i nogi migały przed oczami. Deszcz chlupał. Wtem strach szarpnął Władysława. Był w mieście sam z obcą panienką. Wyrwał gwałtownie rękę i zaczął biec. Wpadł na jakiś tułów. Słyszał jakieś słowa furczące nad głową. Czuł, że ma nogi strasznie lekkie i że serce wylatuje mu gardłem. Wtem zatrzymał go ktoś. To była Jola. Stał zdziwiony.

– Gdzieś był?

– Nigdzie, proszę pani... A gdzie pani była tak długo?

Ida, czyli biedny człowiek

Matka leżała w łóżku, krzyczała histerycznie i przeciągle, trzymając się za serce. Mówiła coś o płaszczu i klęła. Ida krzyknęła:

– Nie rycz!

Nastąpiło crescendo:

– O ja nieszczęśliwa, ja biedna; ty cholero, żeby cię ziemia nie nosiła, żebyś gniła...

– Uważajcie, bo wam coś kiedyś zrobię.

Trzasnęła drzwiami. Płakała. Wyrzucała z siebie rozpacz i płacz łkającymi skurczami. Tak wyobrażała sobie rodzenie. Przegrzany pokój zwałił się na nią ciężkim powietrzem, gorącem. Dławiła się. Płakała, biła ręką w stół i zduszonym głosem krzyczała: „Aaa... aaa...”. Deszcz chlupotał przeraźliwie, warczał; szyby trzęsły się, miały jak puls. Latarnie dusiły się pod mgłą i deszczem. Woda spływała po duszy wzburzenie, pieniście. Powtarzała: „Boże, Boże” – i dużo jeszcze innych szalonych słów, gorących, porwanych jak strzępy myśli.

„Nie!”. Słowo buntu wyleciało triumfująco-ekstaszycznie spod piany, jak kometa przecięło wnętrze duszy. Włożyła płaszcz i obcierała łzy.

– Żeby szlag trafił...

Wpadła w deszcz, zimny falisty, łechtany wiatrem, w żółtą mgłę. Otworzyła usta i łapała krople między wargi, jak to robi Władysław, tylko dysząco, łapczywie. Potem poszła szybko, a woda spadała jej z twarzy z resztkami łez. Szła do Jena. Gdy spotkała małego chłopca, Władysława, który stał przed nią ze łzami w oczach, wzięła go za rękę. To była jakaś miękka skrzynka na mękę. Ale chłopak uciekł.

Potem była brama. Schody. Puka do drzwi. (Jak się to szybko stało). Nikogo nie ma. Pusto, ciemno. Rzuciła się na nią jakaś zdziwiona rozpacz. Wtem usłyszała kroki: Jen. On stoi i nic nie mówi. Otwiera drzwi.

– Wejźdź!

Wchodzi. Jen patrzy na nią zdziwiony. Ale tylko chwileczkę zdziwiony. Uśmiecha się potem kątem ust, skrzywieniem ironiczno-zrozumiałym.

Głaszcze ją po włosach:

– No, idź, idź!

Ściska jej rękę, żegna się. Ona odchodzi. Jen mówi jeszcze z daleka:

– Nie płacz...

Na polu nie ma już deszczu; jest zmierzch. Musi iść do domu. Tam matka leży w łóżku i krzyczy histerycznie. Tam jest gorąco, strasznie gorąco. Trzeba rękami wybić szybę i zamoczyć wargi w chłodnym niebie. Jaskółki latają wysoko. Deszcz wisiał za domami i sypnął znów zmrok jak piasek. Jaskółki latają wysoko. Elipsami, łukami. Domy proszą niebo o zmierzch, o cichą śmierć w szeleszczącym deszczu. O cichą, dobrą śmierć. Bez lamp, bez krwi. Niebo się marszczy, ciemnieje, kurczy. Spłyn cicho, całkiem cicho. Zawisnij na powiekach – powieki zamkną się. Zmęczony człowieku, Ido, przymknij oczy i płacz.

Ri, czyli niepokoje księżycowe

Mgła płynęła przez miasto. Cienie wieży kościelnej gięły się. Zielony księżyc za białą siatką chodził jak lunatyk po dachu. Ri wracała z białej sali z rozdygotanymi nerwami. Drżała we mgle, suwała gorączkowym wzrokiem po zamazanych konturach domów. W białej Sali leżał człowiek o dużych czarnych oczach – Ojciec. Nad łóżkiem była tabliczka z nazwiskiem. Pod nią czerwona kreska – operacja. Potem kilka kółeczek – rentgen. Ojciec musiał umrzeć. Ojciec leżał w sali, gdzie jęczał chłopak o opuchłej czaszce, gdzie czarny chudy człowiek dygotał na łóżku. (Czarny człowiek śmierdział trupio i przenikliwie). Ojciec otwierał czarne oczy i mówił głosem lekko drgającym:

– Ciągłe jęczą... W nocy dzieją się tu straszne rzeczy.

Domyślał się czegoś. Podśluchiwał rozmowy pielęgniarek, węszył, badał sobie puls; nie chciano mu przecież powiedzieć, że musi umrzeć, że rak jest rozrzucony po żołądku i że rentgeny przedłużają mu tylko życie. Pytał się podejrzliwie, kiedy go już wypuszczą. W nocy bał się strasznie. Kolana skakały mu pod kołdrą. Śmierć, śmierć. Lekarze nic nie mówią, siostry nic nie mówią, okłamują go, wszyscy go okłamują. Chłopak o napuchłej jak balon głowie jęczy. Żółto-fioletowa twarz błyszczy w mroku. Ciężki sen spada na powieki. Opuchła twarz ginie. Usypia mokry od potu.

Rano przyszła Ri. Wieczorem przyszła też, ale musiała zaraz odejść. Gdy przechodziła koło kliniki wenerycznej, zobaczyła w mroku różowego człowieka. Człowiek miał czerwoniutką rozpaćkaną skórę i białe oczy. Wargi ginęły w ogólnej różowości. Nos był lekko postrzępiony. Nogę miał w drewnianym czółenku. Człowiek stał i patrzył białymi oczami na Ri. Stanęła. Gdyby człowiek przemówił jedno słowo, świat pękłby i zaczęłaby się śmiać głupio.

Potem odeszła wolno, bo człowiek milczał. Księżyc zeskoczył z dachu i fruwał wśród mgły. Światła topiły się. Gdy przyszła do domu, zobaczyła, że salon jest zamknięty na klucz, i wiedziała, że matka siedzi pewno przed rzędem kolorowych flaszek, że opary alkoholowe wloką się przez różowe, przyćmione światło. Tak też było. Matka przeżywała dławiąco-przyjemne stopniowanie od likieru i lekko kwaś-

nego wina do spirytusu palącego gorzko i dusząco. Czuła rosnącą w sobie pełnię, rozkosz dowolności, wspaniałe rzuty myśli. To było połączone z uczuciem mglistości cielesnej. Członki niosły ją koławo od kanapy do fortepianu, jakąś własną pralogiką. Wzrok nurzał się w zielono-płynnym księżycu. Cieszyła się z wciskania myśli w klawisze i z tego, że jej wychodzi to, co chce. Zachciało jej się też pomyśleć o człowieku, którego kochała, a który miał umrzeć, i o córce Ri. To było śmieszne. Właściwie on już nie istniał, bo to parę miesięcy... A równocześnie jego życiowe oddziaływanie takie silne, straszne. Krzyczał każdym ruchem twarzy; życie oddychało przez niego. Między nią a nim była Ri – istota półpłynna i dziwna. Podeszła do drzwi. Wejść, czy nie wejść do niej.

Ri stała właśnie przed lustrem i dokonała w księżycowym świetle dziwnego odkrycia własnej nogi. Światło toczące się z okna było białe. Chmury jak lodowce śnieżysto-wyostrzone płynęły po granatowym niebie. Noga w lustrze była wspaniała, błyszcząca, pół w pończosze, pół matowo-brązowa. Ri czuła własną cielesność jakoś nowo, świadomie, a jednocześnie żałośnie.

Zbliżyła w mroku do lustra twarz. Serce biło jej silnie. Miała zobaczyć na nowo własne oczy podobne do ojca. Odrzuciła włosy w tył ruchem zdecydowanym, który tak lubił Jen. W mroku w powierzchni lustra wyrastała twarz. Twarz była obca. Nie. Raczej nastąpiło dziwne rozdwojenie między twarzą, a tym, co czuła. Zamknęła oczy. Myśli wirowały. Dotknęła rękami policzków i ust. Poczowała na wardze małą krostkę. Nie mogła otworzyć oczu, bo bała się twarzy człowieka różowego. Syfilis. Mała krostka uwypuklała się na wardze. Scałowany syfilis. Księżyc odbija się w lustrze. Mgła wyczyściła niebo jak lustro. Była gotowa uwierzyć, że zaraziła się, gdy weszła matka. Weszła krokiem nierównym, pijackim.

– Dobry wieczór, mamo.

Zobaczyła znane oczy, niespokojne; zobaczyła ruch bezradny, opadnięcie rąk. Głos łamiący się mówił:

– Był dzisiaj u mnie... Nie byłam u ojca. („On” to był kochanek matki – głuptas o migdałowych oczach).

Nie była u ojca. Ri zobaczyła znów kątem oka własną półrozebraną nogę.

– Ja byłam...

Różowy człowiek chodzi po promieniach księżycy. Matka płakała. Ri siedziała z założonymi rękami.

Antjen, czyli inny

Niebo jest wielkie, szare i kroplami spływa w dół. Drzewa kąpią zielone ręce w zmierzchu. Przedwieczorna spokojność kołysze drzewami. Krople-wspomnienie deszczu świecą zielone. Szarzy ludzie wieczoru siedzą na ławkach i wdychają bezgłośnie trwanie. Zanurzony po gardło w ciszy, niby w spokojnej, niby dławiącej, siedział Antjen i patrzył na bladą twarz Idy falującą w mroku. Słowa drgały ciche, jak ptaki:

– Nie mogę ci dużo powiedzieć o Jenie ani o nas. Przyjdź na ucztę, zobaczysz... A Jen... ma piękne zgięte usta i taki wzrok, niezatrzymujący się na niczym... i naprawdę nie potrafisz ci więcej powiedzieć o Jenie.

To powiedziała Ida cicho i poważnie. Dygotała. To było zawsze tak, gdy mówiła o Jenie, który umiał tak łagodnie odpychać.

– Nienawidzę waszego sposobu bycia, waszego sposobu przeżywania, ale równocześnie coś mnie ciągnie do was. Znam dziewczynę Ri, znam Jolę, znam panią i u wszystkich widzę to samo.

Słowo „Ri” spadło na wyprężoną w męce duszę ciężko i boleśnie. Ida skoncentrowała się cała na bolesnym szarym miejscu, żeby się nie złamać.

– Czy ty nie boisz się nas?

Chwileczkę było cicho.

– Proszę pani – odpowiedział. Potem śmiał się nerwowo. Śmiech rozdarł ciszę. Spokojni ludzie na ławkach poruszyli się. – Ja tak ciągle mówię, żeby pani opowiadała o Jenie. Ale proszę mi już nic nie mówić. (Tu zmrużył oczy jak kot, zuchwale, ironicznie). Zobaczę, przyjdę na ucztę... – Przerwał na chwilę. – Do widzenia pani.

Szedł wolno przez ulice krokiem pewnym, realnym. Chciał spotkać się z tymi ludźmi, a zwłaszcza z „tym” Jenem, bo nienawidził ich za fantastyczność, za bezuczuciowość, za stwarzanie nieistniejących problemów psychicznych. (Tak to przy najmniej formułował). Byli dla niego nieuchwytni. Zazdrościł im tej mglistości. Wyślizgiwali się ciągle. Tam na dnie był może strach, taka mała niespokojność przed nieznanym.

Do ciebie, czytelniku

Porzucamy ten świat. Porzucamy znane ci kombinacje, znane nici drogi. Przecież napatrzyłeś się na nie już dość. Boisz się? Chyba nie. Zresztą chcę cię pocieszyć. Zobaczysz nową budowlę, dużą, dziwną, może straszną. Słyszałeś już jakieś echa. Widzę, że trzymasz się czegoś kurczowo, że myśl twoja płata się niezdecydowanie, że bawisz się jak Antjen. Boisz się oderwać, cisnąć świat w dół i raz nareszcie płynąć. Na próżno twoje rozedrgane myśli będą szukać życiowej logiczności. Patrz! Buduję wspinały świat z obrazów. Nie buduję go sam. Pomaga mi Ri i Jola, i dużo innych. Buduję go, bo męczę się, bo gna mnie niepokój. Czy boisz się jeszcze? Przyjdź na ucztę; będzie tam Antjen też.

CZEŚĆ DRUGA. UCZTA ALBO JEDNA NOC

Ciężko stacza się duże słońce po parnym niebie. Duszno. Duszno. Ramiona wyciągnięte w górę. Światło ślizga się po ramionach. Zaraz będzie noc. Dziwna noc.

<noga²

Ida leży z przymkniętymi oczyma na łóżku. Przez story słońce sypie się do pokoju. Kroki szemrzą cicho, kłapią, zbliżają się. Tęsknota straszna, dzika, pękła gdzieś w środku, przez gardło i usta. Wyrzuca ją gwałtownymi skurczami. Mówi cicho: „Bę-dę się mę-czyć”. Sylabizuje każdą zgłoskę. Każda zgłoska pada ciężko, ołowianie. Słońce tryska zza story jak krew z tętnicy. Nie można nawet ramion wyciągnąć do góry. W drugim pokoju chirurg o białych włosach łapie uderzenia serca. Namyśla się, gdzie zrobić punkcję, i mówi spokojnie:

– Pani się nie boi...

Zapalenie osierdzia. Stara babka stoi pod drzwiami i żuje szare słowa w bladych wargach. Ida widzi wszystko spod przymkniętych powiek.

Babka drepta po pokoju i bawi się sznurkiem od story. Potem podchodzi do Idy i pochyla nad nią ptasią głowę. Ida oddycha równo. Udaje, że śpi. Babka patrzy uważnie, potem mówi cicho:

– Ty cholera, ty cholera, ty cholera.

Za każdym razem pochyla się niżej. Potem odchodzi, człapiąc. Bierze granatowy beret Idy i chowa go pod szafę. Ogląda się chytrze i miętosi coś w bezzębnych wargach. Ida przeczuwa mękę nocy. Słońce zapada się pomału, Boże, nawet ramion wyciągnąć przed siebie nie można. Patrzy na swój granatowy beret schowany pod szafą. Mówi rytmicznie i cicho:

– Nie szkodzi... Wszyscy budujemy wielki, dziwny gmach.

Nad słoneczno-czerwoną przestrzenią zielone drzewa pięły się w chmury. Błyski kołysały się w krwawym morzu, spływały z góry i znikwały w dolinie ciemno-pachnącej. Czarne chmury płynęły w czerwoną przestrzeń. Cisza niespokojna jak „Dyskobol” zawisła w napięciu, czaiła się w dole.

– Ri... Patrz, czarne chmury płyną.

Łagodnie-dziwny, niespokojny głos. Podniosła głowę w górę, w niebo, i odrzuciła włosy ruchem znanym, trochę zuchwałym i jasnym. Zadrzała. Czarne chmury płynęły od północy.

– Jestem niespokojna.

Zacisnęła usta i wysylabizowała te słowa. Spoważniał. Lekkie ruchy nabierały masywności, ciężaru. Powiedział:

– Tak. Musimy iść. Jest coraz ciemniej.

Idąc w dół, spotkali Antjena. Miał zacisnięte, zdecydowane usta.

² Dopisek ten odnosi się najpewniej do prozy *Noga*, która ukazała się w „Naszym Wyrazie” (1935, nr 2, s. 9), z adnotacją: „Fragment z dłuższego utworu, usunięty ze względów kompozycyjnych”; zob. też: L. Lipski, *Noga*, [w:] tegoż, *Paryż ze złota. Teksty rozproszone*, wyb., oprac., posł. H. Gosk, Izabelin 2002, s. 113–114.

Słońce już zaszło. Księżyc przezroczysty jak obłok, jak szkło wisiał na niebie. Zaczęła się noc.

Na ciemnej ulicy stał parkinsonik – wieczny pytajnik. Ruszał głową i podniósł do góry otwarte jak ryba usta. Łapał powietrze.

Władysław obudził się tej nocy i poczuł dziwne pragnienie. Usiadł na łóżku i oglądał lampę lukową za oknem. Koło niego spała Jola. (Jeszcze spała). Zdawało mu się, że go coś ciągnie, i to całkiem materialnie. Trzymał się łóżka i coś go ciągnęło. Ale nie bał się teraz całkiem. To nie było podobne do tych strasznych snów, kiedy ktoś porywa. Wstał cicho z łóżka i otworzył drzwi. Ubrał się cicho i wyszedł na ciemną ulicę. Latarnie stały ustawione na sztorc. Domy były poukładane obok siebie równo jak w pudełka. Ulica czym dalej, tym była węższa. W ogóle wszystko wyglądało bardzo dziwnie. Władysław szedł, potem biegł przez ciemne ulice. Teraz zaczął się już bać. Pędziło go coś. Zdawało mu się, że ma czegoś szukać i dlatego oglądał wszystkie bramy i zaułki. W jednej bramie stała prostytutka. Opierała się o mur i nudziła się. To była pierwsza osoba, którą zobaczył Władysław na ciemnych ulicach. prostytutka spytała:

– Co ty tu robisz?

Chłopiec stanął i popatrzył na nią płaczkliwie. Wtedy ona zaczęła się strasznie śmiać. Władysław powiedział:

– Co się śmiesz?... Przecież ja się boję... Nie śmieję się...

Ale ona nie mogła przestać.

Parkinsonik zrobił krok naprzód i kołysał dużą rudą głową. Niepokój gnał przez ulice jak wiatr. Ludzie mówili coś przez sen. Księżyc był jak galareta. Zdawało się, że rozplynie się zaraz. Ida szła wolno przez ulice. Potem weszła w drzewa, kiwając się ociężale. Siadła na ławce i pod śpiącą latarnią pisała list. List był do nikogo i nie miał zostać nigdy wysłany. Ale był listem i nazywał się szumnie, szeleszczącą, wiatrowato i zwariowanie. Dlatego pisała go teraz... Ktoś powiedział:

– Ja panią znam.

Podniosła głowę i zobaczyła małego chłopca. To był Władysław. Dyszał i słowa wrywały mu się ze spienionych oddechów.

– Ja pani coś opowiem. Gdy doszedłem do tej bramy, gdzie stała jedna pani z papierosem, zobaczyłem, że księżyc gaśnie. Jej wypadł papieros. Złąłem się strasznie i goniłem przez ulice.

Ida popatrzyła w niebo. Było czarne, bezbarwne i puste.

– Proszę pani... niech pani się na mnie patrzy, a nie tam. I wtedy, gdy goniłem i goniłem, otworzyli nagle bramę i wynieśli ten księżyc na drągach. Był cały zarzewiały i woda z niego kapała. Załadowali go na wóz i wywieźli. Był taki duży wóz... Ja się teraz strasznie boję. Co będzie? Dlaczego pani nie odpowiada? Co będzie?

Niebo wyglądało jak zabite deskami. Takie puste, głuche.

Przytłumione dobre światło padało na kartę z nazwiskiem i na czerwoną kreskę oznaczającą datę operacji. Przy łóżku siedział chirurg o białych włosach i głaskał rękę człowieka. Ojciec Ri mówił, że teraz boi się mniej, i patrzył jakoś inaczej na chudego czarnego człowieka, który pachnął śmiercią, i na chłopca o opuchłej jak bania głowie.

Ri widziała głowę ojca leżącą na stole. Głowa mrugała powiekami, pod którymi nie było oczu. Spojówki były czerwone i krwawe. Ri czuła, że ojciec chce coś powiedzieć, ale nie może otworzyć ust. Wiedziała, że męczy się bardzo. Na wargach wisiał mu ciężar. Chciała pogłaskać głowę ojca, ale bała się. Ciemne wargi otworzyły się, ale wyszedł z nich tylko niezrozumiały szept. W końcu wyszło z ust ojca coś płynnego. Ri powiedziała:

– Muszę iść do szpitala, muszę.

Do szpitala wnosili kogoś z zakrytą twarzą. Chirurg o białych włosach trzymał w dużej, białej dłoni rękę ojca. Chmury przypląnęły od północy i zakryły niebo. Grzmot burczał z daleka jak charczący oddech. Ri stała pod bramą i mówiła:

– Ja pójdę tam sama, Jenie. Przyjdźcie potem do mnie.

Jola obudziła się też tej nocy.

Ida siedziała z Władysławem na ławce i patrzyła w niebo. Bułgotało coś głucho za domami. Błyskawice pękały przeraźliwie jasne. Usłyszała jakieś głosy. Działo się to tuż za drzewem na drugiej ławce.

Jen szedł zdecydowanym miękkim krokiem. Wracał spod szpitala. Siadł na ławce i myślał o dziwnym spojrzeniu człowieka, którego spotkał przy schodzeniu z góry. Człowiek uderzył go wzrokiem, zsunął się nim po ciele jak szpada. Ri szepnęła wtedy do ucha:

– To był Antjen.

Określił swój stosunek do tego człowieka stosunkiem ładunku ujemnego do dodatniego. (Błyskawice targały się z trzaskiem). Przyciągali się i byli dla siebie zniszczeniem. Wtem spostrzegł, że cień przesunął mu się przed oczami. To była Jola:

– Dobry wieczór, Jenie.

Skinął głową. Zgiął w uśmiechu piękne usta. Wyglądały jak fala. Siadła koło niego. Milczeli. Cienie drzew leżały porozrzucone jak myśli po ziemi. Liście trzepotały jak ptaki i drżały. Siedzieli w szeleście, w rwącym, niespokojnym wietrze. Jola wzięła pomalutką Jena za rękę. Trzymała ją miękko i głaskała. Potem ujęła ją silniej, silniej... Ręka była bezwładna. Wbiła paznokcie w białą skórę. Trysnęły kropelki krwi i potoczyły się. Usta Jena wyglądały jak fala. Śmiały się. Potem potoczyły się znów kropelki i spadły na ławkę. Fioletowe światło skoczyło na drzewa. Jola cofnęła rękę i patrzyła obłądnym wzrokiem na krew. Klękała na ziemi i pocałowała krwawiące miejsce. Usta Jena śmiały się dalej nieporuszenie. Jola ocierała wargami płamę. Potem podniosła się i poszła.

To widziała Ida, siedząc z Władysławem na ławce. Władysław spytał:

– Dlaczego ona poszła?

Potem zaczął płakać.

– No, Władysławie, musimy już iść. Nie płacz.

– Proszę pani, ona zawsze śniła, że tak zrobi, ja pani mówię. Czy ona teraz dalej będzie śnić to samo?

– Chodź, chodź.

Poszli.

Poszli oglądać śmierć. Władysław stał z półotwartymi ustami i trzymał za rękę Idę. Burza zbliżała się. Chorzy byli niespokojni. Chirurg o białych włosach nie

mógł opanować sytuacji. Wiatr bił piaskiem w okna. Światło było przyćmione, niepewne. Ri siedziała nieruchomo na krześle i myślała o matce. Chłopak z obandażowaną głową zaczął się rzucać. Ludzie modlili się. Modlili się strasznie. Czepiali się długimi rękami Boga. Zaklinali Go, wysyali się w niego w męce nie do zniesienia. Zdawało im się, że im nie daje odpowiedzi, trącali Go, szarpali Go, krzyczeli: „Boże, Boże...”. Jen powiedział: „Chodźmy”. Szli. Wiatr szarpał ubrania. Deszcz zaczynał padać. Jen powiedział:

– Czy potraficie skoczyć ponad to?

Milczeli.

– Bo on nie potrafi.

Pokazał palcem na postać w ciemności. Antjen szedł za nimi. Włókł się z zaciśniętymi ustami. Podnieśli kołnierze. Władysław uczeplił się ręki Idy. Szli powoli, walcząc z wiatrem. Szli przeciw wiatrowi.

Zbliżali się do sosnowej góry. Jakies okna chwiały się na zboczu. Deszcz sypnął gwałtownie. Ekspłodowało coś z sykiem. Zobaczyli olbrzymie wspaniałe niebo pęknięte w pół błyskawicą. Słyszeli szum rzeki, sosen. W chmurach szumi góra-organy. Czarne organy białe w pęknięte, rozżarzone do czerwoności niebo. Ogarnęła ich jakaś rozkosz chłodu, rozkosz wznoszenia się. Złało się niebo z górą w ryku w szumie, boskim bełkocie.

– Chcę krzyczeć!

Niebo zatkało im usta. Szeroko rozwarte ręce. Krzyż człowieczy na górze chce objąć... Co objąć? Zamknąć w krzyku wspaniałość chwili.

Weszli schyleni do małego domku. Otrząsali się z wody jak psy. Byli tam już znajomi: Mała śpiewaczka Lietta, malarz Kerro (przez ślepo-zagmatwaną świadomość buchał talent; ale jakiś psi, instynktowny), Juliusz o dużej czarnej głowie, którą rozsadały pomysły (takie dzikie, wysoko strzelające), Joel, pianista, wysoki, giętki, o błyskotliwo-histerycznych ruchach, i jeszcze inni, rozpaleni, rozgadani. Weszli. Powitano ich. Powitano specjalnie Jena, który był na pozór niczym, a właściwie wszystkim, samym centrum, samym środkiem wielkiego skomplikowania. Ów siadł przy stole, zanurzył się w fotel i muskał wzrokiem pokój. Burza rzucała się za oknem, deszcz spadał na dach domu. Ri prosiła małą śpiewaczkę Liettę, żeby śpiewała. Juliusz chodził sam wzdłuż pokoju i kiwał dużą czarną głową. Kołysał się rytmicznie i mówił coś do siebie. Teraz Lietta będzie śpiewać. Boi się bardzo i wstydzi się tylko. Lietta będzie śpiewać, ale wyjdzie do pokoju obok i tam, sama patrząc w okno, zacznie... Uciszyli się.

Śpiewała cicho i matowo. Głos mieszał się z wiatrem, oplątywał wiatr. Czasem go przygłuszał, czasem nikł pod nim. Mała Lietta śpiewała *Erkōniga* Schuberta bez akompaniamentu. Wypadało to dziwnie, poszarpanie... pomieszane z wiatrem. Lietta była tak zajęta śpiewaniem, że nie słyszała, co się stało w drugim pokoju.

Tam otworzyły się drzwi. Najpierw wleciały odgłosy wiatru, potem wszedł Antjen. Stał chwilę. Włosy miał przylepione do czoła i woda spływała mu z ramion. Światło oślepiło go. Potem zamknął drzwi. Wszyscy milczeli. Jen poruszył się. Coś spadło. Przewróciła się fłaszka czerwonego atramentu. Atrament kapie powoli na ziemię. Ręka Jena poruszyła się niespokojnie na stole. Nie zwrócił uwagi na krwawą plamę. Ri szepnęła:

– Krew.

Czerwony atrament kapał ze stołu. Śpiewaczka Lietta śpiewała *Erlköniga*.

Antjen powiedział:

– Patrzcie, ona myśli, że to krew. Wasze życie jest też czerwonym atramentem.

Z pokoju obok było słycać śpiew. Deszcz stukał na szybach. Jen szepnął:

– Przyszedł człowiek, który boi się skoczyć...

Antjen drgnął. Nie patrzył na Jena, tylko na stół. Z ręki Jena ciekła krew. Płynęła cienkim strumykiem z trzech małych ranek, które całowała Jola. W pokoju obok umierał chłopak z *Erlköniga*. Krew spływała wprost na stół do czerwonej kałuży z atramentu. Chłopak z *Erlköniga* już nie żył. Śpiewaczka Lietta stanęła w drzwiach. Na polu burza nie ustawała. Przez burzę przebijał się krwawy świt. Kończyła się noc.

POSTSCRIPTUM DWÓCH LUDZI

I.

Boże, Boże wędrowców, idących białą drogą, Boże dusz czołgających się po ziemi, Wielki Chirurgu, rozplataj mnie wpół i wyjmij duszę ciągle skowyczącą. Będę leżał nareszcie spokojny i półśpiący.

II.

Boże, Boże dusz czołgających się po ziemi, Boże wiecznych wędrowców, dziękuję Ci za duszę skowyczącą i za duszę niespokojną, i za to, że muszę wlec się za błakającymi światłami, i za to, że nienawidzę dojrzałych „równych” ludzi, i za to, że muszę tu teraz wypluwać z głębi wywleczone krwawe strzępy. Jak już będę starzany i bardzo zmęczony, jak już będę miał umrzeć, to powiem: „Dziękuję za niepokój”. Pobłogosławię go. Pobłogosław Ty też...

Kraków, wrzesień 1935

Egotyki

NA WIOSNĘ

Poeci chodzą po dachach i miauczą. Kocie oczy świecą nocą, jak zielone księżycy. Duszą się nabrzmiące drzewa –. Czarne ptaki lecą pod niebem. Wieczorem, w męce, pełzają po mokrej ziemi i tarzają się ludzie. –

DO PAPIERU

Nie mam ci nic do powiedzenia. Niepotrzebnie jesteś czysty i biały i błyszczący. Nie czuję falujących zarysów przyszłych zdań. Jestem spokojny i umarły. –

Nie gniewaj się. –

NA POŻEGNANIE DZIEWCZYNY

Nie wiadomo kiedy, nie wiadomo jak,
ale wiem na pewno, że napiszę rzecz
na pożegnanie dziewczyny. –
Będzie tam mowa o niej, o mnie-pisarzu,
o przyszłości czarnej i falującej.
Musisz bowiem wiedzieć ty, który to będziesz czytał,
że będę pisarzem
i umrę może kiedyś w barakach, żując opluty świat między wargami,
albo będę siedział w obitych filcem pokojach,
albo będę walczył na niewiadomych frontach o niewiadome sprawy
leżące w czarnej i falującej przyszłości.
Niech wie też o tym ta,
która chce odejść,
którą będę żegnał.
Ona chce być bogata, ona chce być wysoko,
ona będzie bogata i będzie wysoko,
a ja będę pisarzem – to trochę dziecinne i proste.
Chcę się oddać tym wątpliwym losom,
dla pewnych wielkich, niepozornych spraw,
przemykających się niewidocznie między zdarzeniami dnia.
Ona ich szuka daleko, ona ich szuka wysoko,
dlatego będę musiał żegnać
ją, która chce odejść.
Wiem, jak będę patrzeć na beznadziejnie przeszłe rzeczy,
wałęsając się po deszczu i nocy.
Wiem, co będę czuł poprzez dziury płaszcza,
patrzac w czarne niebo, falujące w górze.
Ale są pewne sprawy cicho się przemykające,
które się wzdymają, gdy nie możesz spać,
które czasem rosną, puchną i pęcznieją,
aby kiedyś raz zasłonić ci świat.
I wtedy ja też stanę wobec życia
i ciemnej przyszłości,
kiedy zmiętoszona śmierć – podniesie swą głowę:
i dlatego ja, Leo Lipschütz – pisarz,
będę patrzeć prosto, będę patrzeć w ciebie,
która będziesz wysoko, która będziesz daleko,
którą będę żegnał. –

Dla Idy – po spacerze, pod mostami, nad Wisłą. –